

Bożena J. Głogowska, Kroki

(Wydawnictwo Akademickie SEDNO, 2026)

(fragmenty)

Wspomnienia mnie ogarnęły, nie mogłam się od nich uwolnić, może dlatego, że ten okrutny czas wojny mógł jeszcze powrócić. Bałam się, przecież wiedziałam, że zło przychodzi nagle, a ludzie nie mają nic do powiedzenia. Są bezradni, jak moi rodzice, dziadkowie i ich znajomi. Nawet przyroda nie bierze w tym udziału. Kwiaty kwitną, drzewa uginają się, tyle na nich jabłek i gruszek. Może trochę ptaszki przycichły i trawa poprzepalana jest jak u babci w ogrodzie, a może tylko tak mi się wydawało. Przecież przyroda czuje i stara się nam pomóc – swoim pięknem.

Tego dnia, kiedy balonik zawisł na czubku bzu, zaczęłam się nudzić i chyba z tych nudów zachciało mi się spać. Weszłam do budy Finki i zasnąłam. Później mama, babcia i wujek oraz nasi sąsiedzi długo mnie szukali, i to wszędzie. Musieli bardzo się niepokoić. Znaleźli mnie dzięki tacie Jureczka, który zauważył, że Finka zachowuje się dziwnie. Siedzi przy budzie, ale jakoś tak sztywno, i nie reaguje na sąsiadów, których przecież nie wszystkich znała. Poprosił więc babcię, aby zajrzała do budy. No, i tak mnie znaleźli. Bardzo, bardzo kochałam moją jedyną przyjaciółkę, Finkę, bo Lusi jeszcze wtedy nie znałam.

Ten indyk był bardzo mądrym ptakiem, jak i reszta zwierząt babci, bo kiedy mama wracała z miasta do domu, a one słyszały odgłos otwieranej furtki, natychmiast biegly, aby ją powitać. Pierwsza zawsze była Finka, mądra sunia, później koza, którą babcia kupiła, abym miała mleko. Kotka Murka, kiedy mama zbliżała się do furtki, to już siedziała na płocie, a indyk? On zawsze kroczył dostojnie, za nimi. Później, na samym końcu, dołączał „wrzaskun” – kogut.

Wchodziłam po schodach i patrzyłam na niebo i ptaki. Zazdrościłam im, że są wolne. Mogą lecieć w każdą stronę, nikt nimi nie steruje, jak łodzią na jeziorze. Czasem przelatowały tuż nad moją głową, czułam ich bliskość, wówczas prosiłam, aby pozdrowiły babcię i przekazały jej, że bardzo za nią tęsknię. Oczywiście, na tyle byłam już duża, że zdawałam sobie sprawę, iż jest to tylko marzenie, ukryte w mojej wyobraźni. Słowo „wolno” bardzo lubiłam. Jeszcze w Wilnie tłumaczyłam wujkowi Ziutkowi, że dzieci są ludźmi, tak jak dorośli, i nie prowadzi się ich na sznurku.

Później, kiedy wracaliśmy do Wilna, to też widziałam Niemców maszerujących środkiem ulicy. Nie było ich wielu, ale odgłos kroków był straszny, taki ciężki, betonowy. Walili tymi buciorami w jezdnię, jakby chcieli ją rozbić, przypominał mi się trzaskający tupot buciorów bolszewików, kiedy wkraczali do Wilna, ale także wtedy, gdy szli do babci szukać radia taty. Może trochę było inaczej, lecz strach, który mnie ogarnął, był taki sam. Szybko cofnęliśmy się pod okna jakiegoś domu. Mama mocno trzymała mnie za rękę, chyba się przestraszyła.

Przygnębiły mnie spostrzeżenia pani Moniki na temat przyszłości uczniów kończących naszą szkołę. Pani Monika nie ukrywała troski:

– Najbardziej mnie boli – powiedziała – kiedy spotykam po kilku latach naszych absolwentów, tych entuzjastów własnej przyszłości. To nie są już ci sami ludzie, na ich twarzach widać zmęczenie i przygnębenie. Nawet znajomych nie poznają, a może ich tylko nie zauważają. Czuję bezradność i złość.

– Może chcą nazbyt wiele osiągnąć, i to w krótkim czasie? – zapytałam.

Pani Agnieszka spojrzała na mnie, jakby była zdziwiona moimi słowami.

– Zosiu, nie żartuj – powiedziała.

Na moje słowa zareagowała także pani Monika:

– Sama tego doświadczysz. Życzę ci, aby cud się stał i uwolnił nas od „dobroczynności” naszych wschodnich „przyjaciół”. Nie chcę, aby moje córki żyły w tym świecie, którego Polacy nie wybrali, tylko nasi sojusznicy nam go „podarowali” – Pani Monika złapała oddech i przytuliła mnie do siebie.

Maturę zdałam, ale może nie tak celująco, jak oczekiwała mama. Co prawda, tata był innego zdania. Uważał, że najważniejsze jest to, abym się dobrze przygotowała do egzaminu na studia. Dokumenty złożyłam na filologię polską i słowiańską. Nie mogłam jednocześnie złożyć na ASP czy do Wyższej Szkoły Filmowej, chociaż najbardziej wówczas chciałam zostać reżyserem filmowym. Uważałam jednak, że nie będzie mnie, a raczej rodziców, stać na studia w Łodzi. Nie byłam zdecydowana. Nauczycielką nie chciałam być. Uczyć w tych czasach? Raczej może praca w redakcji, ale jakiej? Rodzice nie naciskali ze swoimi propozycjami. Pozostawili mi swobodę wyboru, a ja? Właściwie nie miałam wyboru i może dlatego nie chciałam o tym myśleć.